TYGODNIOWY
PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr.26 /34/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 25.VI.1942

## Péguy i Mickiewicz.

Na parę miesięcy przed wyjazdem niezapomnianą czerwcową nocą z Paryża po dziesięcioletnim tam pobycie, zajmowałem się pomysłem, który zdawał mi się być rezultatem i nagle odkrytym sensem mej dziesięcioletniej "awantury" dyplomatycznej; zdawało mi się, że zdobyte w Paryżu doświadczenie, znajomości i przyjaźnie teraz dopiero naprawdę na coś się przydadzą, że teraz dopiero naprawdę będzie można zrobić to co się nazywa zarazem patetycznie i potocznie "wielką robotą". Nikły rezultat tych pięknych zamiarów pozostał w Paryżu i może będzie kiedyś odkryty jako jedna z wielkich rzadkości bibliograficznych pod postacią grubego, nie - zbroszurowanego jeszcze tomu, na której szarej okładce widniała czarna sylwetka Mickiewicza według sztychu Oleszczyńskiego i napis, ułożony literami z epoki "La Tribune des Peuples".

Ja i moi przyjaciele, którzyśmy sprawili wyjście z druku owego pokaźnego tomu, mieliśmy zamiar pod tą obowiązującą, onieśmielającą, ale zarazem jakże porywającą wyobraźnię nazwą wydawać podobny tom co miesiąc w celu takim samym, choć oczywiście do naszych skromnych możności i do momentu przystosowanym, w jakim wydawał swój dziennik Mickiewicz; jeżeli wybraliśmy nazwę tak dumną i takie trudne nasuwającą porównania, to uczyniliśmy to z całym poczuciem popełnianego zuchwalstwa, ale zarazem z przekonaniem, że ta właśnie i jedynie nazwa zdoła dosyć wymownie narzucić zarówno Polakom, jak cudzoziemcom myśl o odwiecznym związku sprawy polskiej ze sprawą wolności i o naczelnej roli, jaką Polacy zawsze świetnie wypełniali w dziele wyzwolenia ludów.

Ze wzruszeniem i nawet z pewnego rodzaju dumą myślę o owym pozostawionym w Paryżu zeszycie, zwłaszcza zaś o tem, że gdyby dzisiaj przyszło na nowo go drukować, to poza paroma zdaniami tyczącemi się sytuacji Francji, które musiałbym wyrzucić z mojego wstępnego artykułu i poza porywającym artykułem świetnego i zapalczywego profesora Henri Gregoire'a o Belgii, któremu tragiczne wypadki szybko miały zaprzeczyć, wszystko niemal z owego numeru możnaby dzisiaj wydrukować jako aktual -

ność lub jako spełnienie się przewidywań.

Piękna stronica wielkiego Claudela "Polska i Pismo św." kiedyś odnaleziona będzie na zawsze jednym z klejnotów jego prozy i jedną z najbardziej patetycznych i natchnionych rzeczy napisanych o Polsce, jak nic też nie odbierze głębokiej słuszności paru zdaniom, wypowiedzianym o naszym kraju przez szlachetnego i pięknie teraz stawiającego czoło tragicznym wypadkom Mauriaca. Lapidarne, pełne błysków ironii i dobroduszności zarazem studium mego przyjaciela Edgara Mowrera "Wielki paradoks amerykański" z rozkoszą odczytałbym dzisiaj, tak bardzo życie potwierdziło jego słuszność; świetnie uzasadniony, pełen jaskrawości artykuł Arnolda Muhlsteina o środkowej Europie był znakomitym wstępem do jego prac, które w dalszym ciągu tu w New Yorku w tym samym duchu prowadzi; nauki, które wynikały ze specjalnie napisanych studiów generała Kukiela i Edwarda Krakowskiego o Napoleonie i ministra Strońskiego o Konstytucji 3-go Maja nic nie straciły na aktualności, jak nic też na przejmującym pięknie - rozdział powieści Marii Kuncewiczowej "Moja stróżka z Warszawy" i nic na głęboko w przyszłość sięgającem twórczem przemyśleniu - przekład niezwykłego studium Stanisława Brzozowskiego "Bergson i Sorel".

Jedna zaś praca, którą może każdy w New Yorku odczytać jako rozdział niedawno wyszłej w Paryżu książki,była doprawdy arką przymierza pomiędzy czasem, któryśmy wtedy w niepokoju przeżywali, a dzisiejszym duchowym życiem prawdziwej elity francuskiej - ta mianowicie, którą uzyskaliśmy od Daniela Halevy i której tematem był Charles Péguy i jego "Cahiers de la Quinzaine". To czem dzisiaj żyje najgłębiej myśląca, najszlachetniejsza część społeczeństwa francuskiego, ku czemu nagle zwróciła się wstrząśniętem do głębi sumieniem, co zupełnie odwróciło na dłuższy bodaj czas hierarchię literackich jeśli nie wartości to zainteresowań, to właśnie nasze pismo starało się jeszcze przed klęską podać jako najbardziej momentu godne słowo, jako twórczość najbardziej dla danej chwili i na długo potem żywotną; sam spis tytułów innych prac jakże sumiennie wybieranych i dyskutowanych, może zaświadczyć że tak właśnie było, że nie był to przypadek, ale właśnie hasło. I otóż to hasło wynikło jakby naturalnie z samej istoty naszego pisma, z samych jego związków z ideologią Mickiewicza, nasunęło się nam z samej chęci przystosowania idei Mickiewiczowskich do współczesnej Francji; pragnąc odnaleźć ducha Mickiewicza w literaturze francuskiej, a z drugiej strony zbliżyć Mickiewicza do Francji, nie mogliśmy znaleźć lepszej do tego drogi niż przez twórczość i życie Charles Péguy.

Kiedy prosiłem Daniela Halévy w jego pięknym mieszkaniu na Quai de l'Horloge nad Sekwaną o ten właśnie artykuł , Halévy rozjaśnił swą brodatą twarz łagodnym ironicznym uśmiechem i powiedział:"To byłoby zabawne, gdyby cudzoziemcy wytłumaczyli Francji do czego ona ma dążyć, bo od trzydziestu lat nikt tutaj nie wie o co chodzi".

Kult Péguy, który ogarnął dziś całą myślącą i czującą Francję, wyrażający zarazem niepokój religijny i potrzebę przebudowy społecznej, znajdujący w myśli religijnej i w postawie heroicznej niewzruszone fundamenty prawdziwego postępu i ciągłej twórczości, jest najlepszym acz pośrednim dowodem tego, co nam skromnym założycielom nowej "Tribune des Peuples" wydawało się tak niewątpliwe a z czego jakby mało kto zdaje sobie teraz sprawę i stara się wysnuć bardzo rzeczywistej i najpierwszej dla nas wagi wnioski: że dla prawdziwej odbudowy świata myśl i sztuka będą miały niezwykłe znaczenie i że w myśli i sztuce polskiej przede wszystkiem tkwią skarby, zdolne przydać się tej przyszłości.

Ten sam, o którym mówię Daniel Halévy świetny historyk i krytyk namiętny trzeciej Republiki, jeden z najbliższych współpracowników Péguy

powiedział mi kiedyś o Krasińskim po przeczytaniu "Nieboskiej Komedii": "To zadziwiające. Ten młodzieniec znał całego Marxa i Nietschego zanim jeszcze ogłosili swe dzieła".

A czegóż nie przeczuł, nie przepowiedział, nie przewidział Mickiewicz, jakich sekretów przyszłości nie odkrył Słowacki, jakież potężne jasnowidzenia współczesności są w Wyspiańskim, ileż już potwierdzonych życiem i jeszcze mających stać się aktualności jest w niejednym szkicu Brzozowskiego. Jeszcze nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wielkiej roboty moglibyśmy dokonać, podejmując to nasze wielkie dziedzictwo i zapoznając świat z naszą wielką literaturą, która była może nieaktualna w okresie, gdy finezje psychologiczne były naczelnym tematem literackim, a perypetie miłości głównym zainteresowaniem czytelników, ale która może stać się dzisiaj dla wszystkich ludów podbitych i walczących literaturą najbardziej aktualną, poprostu objawieniem.

Czy naprawdę nikogo to nie zastanawia, że Mickiewicz będąc najpotężniejszym religijnym poetą polskim jest tym zarazem, którego bolszewicy podają do zachwytu masom, jako proroka przebudowy społecznej i czy w przemyśleniu tego paradoksu nie możnaby znaleźć tyleż źródeł przyszłości, co w mozolnem zestawieniu statystyk i faktów, które jeszcze przed konferencją pokojową zmienią się sto razy.

Czy fakt, że Péguy artysta, o ileż od Mickiewicza niższy, ale z tego samego ulany stopu heroiczno-religijnego co Mickiewicz i Wyspiański stał się symbolem i prorokiem, tak zdawałoby się nazawsze odzwyczajonej od proroctw Francji, nie powinien nas pobudzić do wszczęcia wielkiej pracy zarówno czysto myślowej, jak polityczno propagandowej, któraby uświadomiła świat o tem co Polska dała mu naprawdę wielkiego a dziś właśnie niezbędnego do życia myśli, w czem przez żaden naród, żadną literaturę nie była prześcignięta?

Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański - jakkolwiek ocenialibyśmy ich wpływ na życie polskie, byli przez twórczość swą w znacznie większym stopniu niż większość czynnych działaczy politycznych twórcami także polityki i historii. I wśród wielu narodów mogą napewno i dziś odegrać tę tak dla nas ważną rolę.

Jan Lechoń

## Historia warszawskiej niani i londyńskiego radia.

Usiadł nawprost mnie, po drugiej stronie biurka. Swiatło z okna padało na jego twarz, wprawdzie bladą i wychudzoną, ale rozjaśnioną wyrazem oczu. Ucieszyło go może to, że spotkaliśmy się po tak długiej i pełnej przygód rozłące, my, starzy koledzy a jeszcze starsi przyjaciele. Bardziej musiało go jednak radować poczucie istotnego bezpieczeństwa osobistego. Dochodziły mnie bowiem o Janku rozmaite wiadomości - dosyć mgliste, ale zawsze niepokojące. Był ciężko ranny, zdołał wszakże uniknąć niewoli. Po zrzuceniu munduru oficerskiego ukrywał się jeszcze długo w samej Warszawie, już zajętej przez Niemców. Mówiono, że odgrywał wybitną rolę w podziemnej akcji. Niewiele brakowało, a byłby złapany przez Gestapo na gorącym uczynku drukowania tajnego pisma. Opłakiwaliśmy go nawet z tego powodu, co jednak okazało się przedwczesnem. Ale Niem-

cy zaczęli mu tak mocno i systematycznie deptać po piętach, że dalsze pozostawanie w kraju równałoby się bezcelowemu aktowi samobójczemu. To też władze zwierzchnie - Polonia Irredenta posiada swoje własne władze doskonale zorganizowane - dały Jankowi rozkaz wyjazdu z kraju.

Przekradzenie się przez granicę, chociaż bardzo ryzykowne, poszło gładko. Dramatyczne przygody i wielkie przykrości rozpoczęły się dopiero później. Całymi miesiącami trzeba było wędrować przez kraje,znajdujące się pod jawną i ścisłą kontrolą Gestapo, albo przez kraje nie mniej systematycznie choć nieoficjalnie współpracujące z policją nazistowską. Inkwizytorskie badania w urzędach "bezpieczeństwa"/?!/, przymusowe zwiedzanie koncentracyjnych obozów, jeżdżenie pokryjomu towarowymi pociągami... Normalne dzieje każdego Polaka czy wogóle Europejczyka, który już zdołał zaznać dobrodziejstw "nowego ładu" hitlerowskiego. Janek dobrnął szczęśliwie do kresu swojej długiej i nieraz karkołomnej wędrówki: przed kilku dniami legalnie wylądował w New Yorku. Cóż dziwnego, że usta nam się nie zamykają i że nawzajem bombardujemy się pytaniami.

W pewnej chwili obowiązki zawodowe biorą górę nad uczuciem przyjaźni. Dla pewności sprawdzam godzinę, by natychmiast puścić w ruch mojego "Hammarlund'a". Po kilku nieodzownych trzaskach rozlega się wyraźnie "Tu mówi Londyn. Dobry wieczór państwu. Nadajemy piąty dziennik radiowy" Janek słucha, zamyśla się, smutnieje. A potem zaczyna opowiadać przytłumionym, cichym głosem, jak wtedy, kiedy mówi się o zmarłych.

"Pamiętasz naszą starą Mateuszową? Tak wołała na nią matka moja, bo my nazywaliśmy ją "nianią". Przecież wyniańczyła ona nietylko Zochę i mnie, ale po zamążpójściu Zychy, wypiastowała jeszcze Romka, jej synka. Wróciła do nas, kiedy Romek dostał francuską bonę. Niewielką już pomocą była w domu. Główne jej zajęcie polegało na musztrowaniu kucharki, pokojówki i lokaja, który przyjmował pacjentów ojca. Przywiązana była do nas wszystkich ogromnie, ale dogadywała nam przy każdej sposobności. Wiesz już o tem, że wojna zastała rodziców moich w Druskiennikach, dokąd jeździli corocznie i gdzie ojciec miał nawet swój letni gabinet lekarski. Dotychczas nie mam pojęcia, co się z nimi stało, choć poruszyłem niebo i ziemię, żeby dowiedzieć się o ich losie. O Zochę jestem względnie spokojny, bo dostałem list z Anglii od niej. Pisze, że wciąż drży o męża, czemu się nie dziwię, gdyż jest on jednym z najlepszych naszych lotników.

Jak widzisz, w mieszkaniu naszem, które cudem ocalało, nie pozostał nikt, prócz starej Mateuszowej. Nawet ja wyniosłem się z domu w przeddzień wkroczenia Szwabów do Warszawy. Rana w płucach dokuczała mi wprawdzie jeszcze mocno, ale była ona mniej niebezpieczna, niż pozostawanie w dużem, wykwintnie urządzonem mieszkaniu, którego nie tknęły bomby niemieckie. Zresztą "niania" kategorycznie zapowiedziała, że nie pozwoli mi zostać, bo przecież te "psiajuchy szwabskie" trafią do nas pierwszego zaraz dnia. Umieściła mnie więc u swoich "kumów" na Woli, twierdząc, że mnie tam sam Hitler nie znajdzie. A "w razie czego", to "kumy" obiecali znaleźć inną kryjówkę. Przyjąłem propozycję bez wahania, co mi na dobre wyszło. Gospodarze mieszkania okazali się bowiem robotnikami - mąż i żona pracowali w pobliskiej fabryce, którzy dzięki swojemu bardzo inteligentnemu uświadomieniu oddawali mi później nieocenione usługi w robocie mojej. Jeszcze raz przekonałem się, że Mateuszowa jest idealną "nianią": zapewniła mi troskliwą opiekę, ofiarną pomoc i serdeczną przyjaźń swoich "kumów".

Wiesz sam najlepiej, czem jest radio w naszej tam robocie. Teraz wszystko jest już doskonale zorganizowane, ale początki były ciężkie nawet w sensie radiowego podsłuchu. To też nie mogłem sobie darować, żem

zostawił nasz aparat w mieszkaniu. Zwłaszcza, że ojciec, który kochał muzykę a był donatorem, zainstalował przed samą wojną ostatni model Philipps'a. Tak mi było żal, że postanowiłem dostać się pokryjomu do mieszkania i ukraść aparat z własnego domu. "Niania", która podczas jednej z jej częstych wizyt wtajemniczyłem w mój zamiar, słyszeć o tem nie chciała. "Że też panicza - dla niej pozostałem paniczem - nawet i dzisiaj głupstwa się trzymają. Przecież w nocy panicz się nie dostanie do mieszkania, bo Szwabisko wcześnie wraca i jeszcze gości sobie sprowadza, którzy do późnej nocy się bawią i upijają. A w dzień panicz nie będzie się szwendał po naszej ulicy, gdzie wszyscy panicza znają i gdzie Szwabów jak robactwa, pełno. Niech panicz to sobie z głowy wybije". Bez pomocy Mateuszowej o dostaniu się do mieszkania nowy być nie mogło. Zarekwirowali je Niemcy zaraz po wejściu do Warszawy.

Zacząłem tłomaczyć "niani", dlaczego mi na tem radiu tak zależy. Słuchała bardzo uważnie. Długo milczała. "Pokaże mi panicz, jak to się kręci, to sama poprobuję, kiedy Szwabisko z domu wyjdzie. Toż cały dzień go niema w mieszkaniu". Usiłowałem przekonać Mateuszową, że jej propozycja jest jeszcze większem "głupstwem", niż mój plan ukradzenia własnego aparatu. Wszystkie moje argumenty rozbiły się o zacięty upór "niani". Musiałem w końcu skapitulować.

Nauka była długa i zmudna już choćby z tego względu, że musiałem wtajemniczać Mateuszową w sztukę manipulowania rozmaitymi guzikami aparatu drogą rysowania jej całego urządzenia. Ale "niania" okazała się nadspodziewanie pojętną uczennicą. Nakładała na swój śmiesznie mały nos wielkie okulary w staromodnej oprawie żelaznej i wodziła uważnym wzrokiem za każdą moją kreską. Widziałem, jak wolno poruszały się wargi jej szerokich ust, cicho powtarzające moje wyjaśnienia. "Niania", słynna ze swojej gadatliwości, potrafiła teraz w milczeniu słuchać godzinami mojego wykładu, przerywając go tylko nieśmiałemi pytaniami.

Nigdy nie zapomnę jej pierwszego "biuletynu radiowego", który przyniosła mi po kilkudniowej nieobecności. "Jak tam panicz tych moich kulfonów nie zrozumie, to ja mu wytłomaczę," dodała z wielkiem zażenowaniem. Rzeczywiście "kulfony" to były strasznie niezgrabne i mocno się nabiedziłem przy ich odcyfrowywaniu. Naturalnie, wszystkie nazwiska i geograficzne nazwy były tak fantastycznie "spolszczone", że tylko dzięki porównaniu ich z niemieckimi komunikatami oficjalnymi mogłem domyślić się, o czem Londyn donosił. "Przyda się to paniczowi na coś, bo ja się bardzo starałam", przyznała się "niania". Pochwaliłem ją gorąco, mówiąc, że przyniosła mi niesłychanie ważne wiadomości. Aż poczerwieniała z radosnej dumy. Odtąd miałem w Mateuszowej istotnie cenną "współpracowniczkę", gdyż jej "komunikaty" stawały się z każdym dniem lepsze i nawet czytelniejsze. Nie zadawalniała się już pisanymi "biuletynami". Miewała wykłady polityczne dla swoich "kumów" i gości ich, którzy słuchali Mateuszowej bodaj z większą uwagą niż moich informacji.

Wszystko skończyło się nagle i w sposób tragiczny. Pułkownik niemiecki, który u nas mieszkał, wrócił kiedyś do domu w dzień o nieoczekiwanej godzinie. Mateuszowa, pochłonięta notowaniem londyńskiego komunikatu, nie słyszała otwieranych kluczem przez Niemca drzwi. Podobno męczyli ją straszliwie przy badaniu, chcąc dowiedzieć się, dla kogo spisywała te wiadomości. Ale "niania" niedarmo słynęła ze swojego uporu. No i z przywiązania do swojego "panicza". Zacięła się więc, znosząc w milczeniu najgorsze tortury. Skazano moją "nianię" na 20 lat ciężkiego obozu karnego. Lepiej byłoby jej zginąć odrazu, bo przecież wiesz, co to jest niemiecki obóz karny. Odtąd, kiedykolwiek słyszę "Tu mówi Londyn" ...przypomina mi się stara, kochana "niania"...

Zygmunt St. Klingsland

## Zwykłym ludziom bliska.

Jest jeden wiersz Stanisława Balińskiego pod tytułem "Wojna bez pieśni", do którego często powracam w zadumie. Każde słowo w tym wierszu jest zastanawiające, bo nie jest położone napróżno. Nie jest to poemat dla egzaltowanych dusz, lecz stanowi źródło płodnych rozmyślań na tematy związane z dzisiejszymi losami ludzkości. Dwie pierwsze strofy są szczególnie poruszające:

W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez skargi,
Nie trzeba słów krzepiących i fanfar bojowych: -
Dość haseł, wymawianych przez pokorne wargi,
I gestów, przed którymi schylały się głowy.

Zawiodły słowa wzniosłe, nie stały się ciałem,
Ale garścią popiołów na pobojowisku...
Przybądź, nowa ojczyzno, jaką mieć cię chciałem,
Togom i wieńcom - obca, zwykłym ludziom - bliska.

Poeta z intuicyjną niezawodnością wyczuł te najistotniejsze troski i marzenia, które wypełniają dziś serca nietylko każdego Polaka, lecz wszystkich ludzi, walczących o lepszą przyszłość świata. Obserwując narody alianckie, a szczególnie Stany Zjednoczone, czujemy, jak w masach rośnie niepokój i tęsknota za upragnionym, za wyzwalającym słowem objawienia. Dziś już jest rzeczą pewną, że potworny rozlew krwi i ofiary niewysłowione, składane szczególnie przez prostego człowieka, mają na celu nietylko pokonanie wroga i obronę własnej niepodległości, lecz że od nich pocznie się nowa epoka przeobrażeń, sięgających głęboko w ustroje socjalne i w psychikę ludzkości. Te fale ideowej rewolucji wzbierają i zanikają rytmicznie, ale każdy ich powrót jest coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej natarczywy. Nie dziwimy się przeto, że słynna już dziś mowa wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, która poraz pierwszy jasno i odważnie postawiła cele powojenne, spotkała się w społeczeństwie z tak entuzjastycznym oddźwiękiem, że ją przedrukowywano, omawiano szczegółowo i wydano w setkach tysięcy egzemplarzy w osobnej broszurze. Cóż w tej mowie jest właściwie nowego i tak przejmującego, co tak porywającego dla milionowych rzesz amerykańskich obywateli? Oto przedewszystkiem postulat bezpieczeństwa ekonomicznego jednostki. Rewolucyjność tego poglądu polega na połączeniu wolności osobistej człowieka w myśl najszlachetniejszych haseł demokratycznych z chrześcijańską zasadą, że każdy człowiek ma prawo korzystać na równi z wszelkich udogodnień materialnych, jakie daje nam nasza planeta. Nie może więc być narodów, opływających w dostatki, obok narodów głodujących, ludzi przebogatych obok nędzarzy.

Ta szlachetna teza polityczna, zdawałoby się marzycielska choć teoretycznie nie do odparcia, stanowi jednak owoc logicznego procesu pogłębiania się demokracji politycznej w demokrację ekonomiczną, a w konsekwencji zerwanie z przekonaniem, że z ideą demokratyczną jest złączony organicznie liberalizm handlowy, przypadkowy wytwór układu stosunków XIX wieku. W to miejsce coraz jaśniej występuje zasada pełnego solidaryzmu ludzkości również pod względem sprawiedliwego podziału owoców naszego globu.

Oczywiście nie wystarcza samo przyjęcie idei. Próba wprowadzenia jej w życie spotka się z komplikacjami potwornymi, z przeszkodami technicznymi i psychologicznymi. By mogła być urzeczywistniona między naro-

dami, trzeba będzie zwalczyć stare egoizmy narodowe, by urzeczywistniła się między pojedyńczymi ludźmi, muszą załamać się zakorzenione przesądy i przyzwyczajenia. Przestawienie mentalności i nawyków, nabytych w ciągu licznych pokoleń, nie jest rzeczą łatwą i wymaga dłuższego czasu, gdyż wiadomo, że przyzwyczajenie jest zatwardziałym konserwatystą. Również strona organizacyjna tego postulatu jest niezwykle trudna. Nie dziw przeto, że niektórzy dziennikarze amerykańscy lekko pokpiwali sobie z mowy wiceprezydenta. Nawiązując do wyrażonego życzenia, by po wojnie każde dziecko na świecie miało codziennie pół litra mleka, jeden z dowcipnisiów zapytał, jak sobie mówca to wyobraża, czy mleko, naprzykład dla dzieci chińskich, będzie dowożone okrętami czy samolotami, czy też po - prostu podaruje się Chińczykom odpowiednią ilość krów i ile krów trzeba będzie tam zawieźć. Wbrew jednak wszystkim sceptykom, nie ulega już dziś żadnej wątpliwości, że po wojnie nastanie epoka prostego człowieka, epoka, w której jego pomyślność i godność osobista stanowić będzie naczelną wartość ideową.

My Polacy najwcześniej zrośliśmy się z tą ideą. Straszliwe przeżycia kampanii wrześniowej i potem niezłomne walki na utraconym, zdawałoby się, posterunku, dały nam przedewszystkiem jedno cudowne i niezapomniane olśnienie: ujawniły wielkość charakteru i wartość duchową prostego Polaka. Chłop polski, robotnik, biedny urzędnik czy inteligent - oni wszyscy z prostotą złożyli największe ofiary w obronie ojczyzny. Pod tym względem, jakkolwiek niezawsze w kraju było im dobrze, nie ustępowali wykształconemu profesorowi czy wysokiemu urzędnikowi. Była to jakaś zdumiewająca zbiorowa wielkość bez najmniejszej ostentacji, jakaś milcząca, wspaniała rewelacja głębokiej dumy narodowej. My dziś, przedstawiciele inteligencji polskiej, myślimy o tych niezliczonych patriotach bez skazy z szacunkiem, tem bardziej, że w wędrówkach naszych po świecie niejednokrotnie mieliśmy sposobność w drodze porównań przekonać się o wyjątkowej wartości naszych braci.

My oddawna już przechodzimy głębokie, rewolucyjne przeobrażenia. Walczymy w sobie z starymi nawykami i przesądami, które były powodem niejednej krzywdy społecznej. Przedewszystkiem wywróciła się w naszych pojęciach hierarchia wartości. Wiemy, że inteligencja i wykształcenie nie jest przywilejem, lecz obowiązkiem służby, że chłop, robotnik czy kupiec nie są czemś niższym w drabinie społecznej, lecz przeciwnie elementem obywatelskim bardziej wartościowym, bo najistotniej twórczym w naszym życiu. Nie jest do pomyślenia, by w przyszłości ci bojownicy walki podziemnej w kraju, ci żołnierze z Afryki, Rosji i Szkocji, którzy powrócą do swych warsztatów nadal na znak szacunku zrywali się na widok wchodzącego starosty, jak to jeden z okólników nakazywał.

Jednocześnie z zniesieniem tych urojonych hierarchii stanowisk i godności, nastąpi zapewne zrównanie ekonomiczne. Być może, że nadal będziemy biedni, ale trudy naszego życia będziemy dzielili wspólnie dla dobra wszystkich i dla przyszłości naszej ojczyzny. Wykazaliśmy już, że umiemy pracować jak żaden inny naród w warunkach nieprawdopodobnie trudnych, to też stworzymy społeczeństwo gospodarne, zdrowe psychicznie, przyzwyczajone do surowego ale uczciwego trybu życia, społeczeństwo głęboko demokratyczne. Bynajmniej nas niedostatek nie zniechęci, wiemy bowiem, że prawdziwa kultura i cywilizacja nie polega na obfitości, lecz wyłącznie na jakości. A my w jakość naszej kultury wierzymy niezachwianie.

Jeżeli więc za naszym poetą powtarzamy słowa: "Przybądź, nowa ojczyzno, jaką mieć cię chciałem, togom i wieńcom obca, zwykłym ludziom

- bliska" - to tem samem stajemy w pierwszych szeregach tych idealistów politycznych, którzy chcą, by wojna przyniosła nową epokę, epokę prostego człowieka.

Zenon Kosidowski

## Time bomb. Powieść.
/Ciąg dalszy/.

-Degen. Leutnant Fritz von Degen - odpowiedział głośno i dobitnie, tak że Mr.White, zupełnie zresztą niepotrzebnie, zrozumiał. I spodobało mu się to. Taki grzeczny, dobrze wychowany młody człowiek. Więc uznał za stosowne prowadzić dalej niezrozumiałą dla obu stron rozmowę, mimo że żona dawała mu gwałtowne znaki.

-Bardzo mi przyjemnie. Moje nazwisko White. - Kiwnął głową z uśmiechem. - To pan podlewał Żydom...

-Nie! To nie ten! To inny! - przerwała przerażona Mrs White.

-Nie, nie! To o innym... - uspokoiła Wanda Degena, który patrzał na nią pytająco.

-Jeden głuchy, a drugi nie rozumie i zabierają się do rozmowy! - zrozpaczona Mrs White zwróciła się do profesora, który teraz, jak przedtem asystent, dziwnie nisko pochylił się nad filiżanką.

-Najlepiej, niech pani mówi dalej...

Wanda jednak nie miała najmniejszej ochoty mówić teraz, kiedy słuchali doktorzy. Tak dobrze nie będzie! Czekali tylko, żeby znowu palnęła jakie głupstwo. Więc zwlekała i kręciła, że nie pamięta gdzie skończyła aż zrezygnowali. Coś poszeptali, a potem odwrócili się i zaczęli rozmawiać, nie patrząc na nią, dzięki Bogu.

-Mówiła pani, że to porządny człowiek, zdawało się - pomogła jej Mrs Karfunkel.

-Właśnie! Raz na przykład wychodził z naszej kamienicy z drugim oficerem, bo oni mieszkali o piętro niżej od nas. A ten drugi był już starszy, może nawet kapitan albo jeszcze więcej. No i tamten, ten drugi, złapał w bramie takiego chłopca. Był taki mały blondynek, co roznosił tajne pismo.."Pobudka" się nazywało. To za to zarazby go zastrzelili od razu, choć miał tylko dziesięć, najwyżej dwanaście lat. Ale wszystko jedno - zastrzeliliby. Ale ten starszy nie umiał po polsku, więc dał temu młodszemu do czytania, bo umiał. A ten przeczytał - ale nic! Sam ten chłopiec opowiadał mi, że nic! Nic, tylko zmiął to i do błota i powiada: "To nic. To reklama". No i tamten puścił tego chłopca.

-No to rzeczywiście porządny człowiek - wtrąciła Mrs White.

-Ten? - zapytał Mr. White.

-Tak, tak - odpowiedziała dla świętego spokoju.

-I co? I co dalej? - dopytywała się Mrs. Karfunkel.

Wanda rzuciła okiem na doktorów i zniżyła głos.

-I wtedy...tak samo jak teraz...namówili mnie i zaczęłam mówić mu o miłości bliźniego...i o ewangeliach...

-I co? I co? Podobało mu się?

-Tak! Bardzo! I naprawdę! Ciągle kazał sobie powtarzać.

-No, No? I co?

-No i na koniec...zakochał się we mnie - zwierzyła się szeptem.

-Rzeczywiście bardzo porządny człowiek - odpowiedział jej poważny głos profesora. Wanda obejrzała się spłoszona. - Nie ma pani czego się wstydzić - mówił dalej. - Udowodniła pani w ten sposób, że jednak miał serce. Niech pani mówi dalej.

Jeżeli słyszał o sercu, to widocznie dawno już słuchał! I musiał

słyszeć o tym nawracaniu na wiarę chrześcijańską! To właśnie, czego za nicnie chciała powiedzieć! Stary kpiarz udawał, że rozmawia, a słuchał cały czas. Nie chciała, żeby mieli ją za taką idiotkę, która myśli że zaraz wszyscy muszą się w niej kochać, bo jest ładna, nawet bardzo ładna, nawet właściwie piękna... Ale profesor z taką powagą pytał się, czy bardzo zakochał się ten Niemiec, że musiała mówić dalej.

-Strasznie! Wciąż zawracał mi głowę, że on jest nordyk, że ja jestem nordyczka, i że to jest nordycka miłość...

-Widocznie miał nordyckie serce - zadecydował profesor zwracając się do asystenta.

-Ja sobie też tak pomyślałam - roześmiała się, żeby nie myślał, że dała się nabrać na jakieś nordyckie serce.

-No i co dalej, co dalej? - niecierpliwiła się Mrs.Karfunkel.

-No i raz...on...ten oficer był na takiej rewizji u Żydów. Oni tak chodzili, żeby kraść. I kazał pootwierać wszystkie okna, bo tam był taki ...jak się nazywa..smród, smród! A na dworze był taki...brr...

-Mróz?

-O, właśnie mróz! Mróz! A koło tego okna siedziała na krześle taka stara Żydówka. Taka stara, że już nie mogła sama wstać, albo była sparaliżowana może, on sam mówił. Bo on sam mi to wszystko opowiadał! No i ona krzyczała, że na nią zimno przez to okno. I go za rękaw. I nie chciała puścić. To on na nią krzyknął, a jak nie chciała puścić to trącił, a jak jeszcze nie chciała, to - wyobrazić sobie - ją razem z tym krzesełkiem - bo był bardzo silny, sam mówił - z trzeciego piętra - buch przez to okno! Sam mówił!

Profesor siedział z zmarszczonymi brwiami. Wcale już nie chciało mu się śmiać. Wanda wytrzymała retoryczną pauzę.

-To nie do wiary...Straszne...-westchnęła Mrs.White tak przejęta, że zainteresowała tym męża.

-Co? Co? Co?

-Wyrzucił przez okno! - odpowiedziała, stosując swoją metodę.

-Te kaktusy? Barbarzyńca! - Mr.White z niespodziewaną energią odwrócił się do Degena, który zdziwiony tym atakiem podniósł oczy na Wandę.

-Nie, nie! To nie pan...

-Ale to nie ten! To nie ten! - gromiła męża Mrs.White. Ale Mr.White coś jeszcze mruczał. Czuł się osobiście dotknięty. Bo jeżeli nawet nie ten, to po co przedstawiał mu się i udawał takiego grzecznego, skoro jest taki barbarzyńca...

Wanda odczekała chwilę, aż profesor podniesie głowę z nad herbaty.

-Więc, wyobrazić sobie, ten sam człowiek, który tamtego chłopca uratował życie i z takim przejęciem słuchał tego... tego wszystkiego co ja mówiłam, teraz własnoręcznie zabił starą kobietę i całkiem się tego nie wstydził! Chwalił się, jak mi opowiadał! Więc miał serce, czy nie? - zakończyła patetycznym pytaniem.

-Miał, ale serce zbrodniarza - odpowiedziała Mrs.Karfunkel, psując jej efekt.

-Serce zbrodniarza nie kocha kanarka i nie każe ratować chłopca!

-A człowiek z sercem nie zabija ludzi!

-Więc właśnie o to chodzi, że nie wiadomo, co to jest!

- Zagadka psychologiczna - zauważył profesor, patrząc na asystenta. Asystent kręcił swój krótki rudy wąsik i milczał. Przez cały czas uważnie obserwował Wandę. Zachowywała się zupełnie inaczej niż Angielka. Czy to cecha wrodzona - inny temperament, czy nabyta - wychowanie w innym ośrodku, czy może wyjątkowy stan podniecenia? /Dalszy Ciąg nastąpi/

Antoni Cwojdziński

## Spis rzeczy.

### pierwszego półrocza roku drugiego Tyg.Przegl.Lit.

### od dnia 4-go I.42 -- 30.VI. 1942.

/Cyfry oznaczają kolejność zeszytów./

Poszukujemy numerów 1-go, 2-go i 5-go Roku I-go oraz numerów 1-go, 3-go 5-go, 6-go Roku II-go Tygodniowego Przeglądu Literackiego. Abonentów, którzy byliby gotowi odstąpić nam powyższe numery, uprzejmie prosimy o przesłanie ich pod adresem redakcji z podaniem kosztów.